Królowo Niebios Maryo, módl się za nieszczęśliwymi Murzynami!



Aby się stali godnymi obietnic Chrystusowych!

ECHO Z AFRYKI

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE
dla popierania zniesienia niewolnictwa i dla rozszerzania misyi katolickich w Afryce.
Wydawca i redaktor: **Aleksander Halka.**

Jego Świątobliwość Papież Leon XIII
raczył udzielić redaktorowi tego czasopisma jako i wszystkim, którzy tę sprawę popierają, błogosławieństwa apostolskiego. *(E Secretaria Status die 16 martii 1891).*

Prenumerata całoroczna wynosi:

w całej Austryi bez poczty	1 korona
» » z pocztą	62 ct.
w Niemczech	1 m. 20 fg.
w Rosyi	1 rsr.
w innych państwach związku poczt.	2 fr.

Redakcya i **Ekspedycya** Kraków, Starowiślna 3.
Prenumerować można: **w Ekspedycyi „Echa" w Krakowie**, w urzędach pocztowych, w księgarniach i w naszych agenturach.
Pojedyńcze numera po **5** ct., = **10** fg.

Nr. 4. Kraków, 1 Kwietnia 1895 r. Rok III.

Legenda o Męce Pańskiej.

I konał Zbawiciel!... Pot śmiertelny okrywał przenajświętsze czoło, te oczy promienne, przed blaskiem których Cherubiny zasłaniały się skrzydłami, teraz zaszłe bielmem, spoglądały litośnie na ten świat, którego był Stwórcą, a na którym ani jedua nie znalazła się miłosierna ręka, by otrzeć to spocone czoło! Tysiące ludu pod krzyżem szydzącego i naigrawającego się ze swej ofiary — a tam, w niebiosach Bóg Ojciec odwracający oczy od Syna, który przyjął na Swe

barki otchłanie grzechu całej ludzkości. — Opuszczony od wszystkich, konał! Cała ziemia wokoło sączyła się od wylanej Krwi świętej i jedna tylko kropelka ostatnia spłynęła zpod cierni w samo oko Jezusa. Jeszcze więc ta nowa męczarnia!

Lecz, jak mówiłam, nikogo nie było w tym tysiącznym tłumie, ktoby choć tę przysługę Zbawicielowi chciał oddać.

Nagle zaszeleściało coś w powietrzu. Mała, szara ptaszyna frunęła na ramię krzyża i dzióbkiem swoim Krwi kropelkę ze źrenicy Chrystusowej otarła. I o dziwo! Jezus słodko spojrzał na maleńkie stworzenie i od tego czasu szary szczygiełek nosi zawsze na swym gardziołku czerwoną plamkę! — Nawet w dawnych czasach zwano go zawsze „ptaszkiem Boskiej Męki“ i zawsze w tygodniach poprzedzających Wielkanoc zjawia się on na naszych niwach.

Jeżeli więc jedna kropelka Krwi świętej, podjęta z wdzięcznością, cuda sprawia, to jakżeż nam chrześcijanom wierzącym przykro być musi, gdy widzimy, że za tylu, tylu ludzi ta Krew Przenajświętsza napróżno lała się na Golgocie!

Mam na myśli czarnych braci naszych w Afryce. I za nich Jezus umierał tak samo jak za nas, a oni jednak tyle już wieków jęczą w okowach zabobonu i kto wie, ile jeszcze minie wieków, zanim nad czarną, spaloną Afryką zajaśnieje słońce wiary prawdziwej. — Teraz tleje jutrzenka dopiero, lecz wobec dziwnej obojętności naszej, dziwnej jakby niechęci do popierania dzieła świętego, heroizm tych ludzi, którzy do Afryki nieść pragną pochodnię wiary, powstrzymany być musi. A tymczasem ileż dusz się gubi, ileż szatan zwycięstw odnosi! Ach, gdy już nad całym Białym Nilem obchodzić będą wesołe Alleluja, gdy ci biedni czarni bez praw, zdeptani, — zrównani niemal ze zwierzętami, — poznają ten słodki dogmat, że i za nich z miłości ku nim Bóg na śmierć się skazał, wtenczas dopiero dla całego chrześcijańskiego świata wybije godzina tryumfu i radości. Lecz nie bez ofiar! Powołania są, bo wiek bohaterów nie minął jeszcze, — lecz środków braknie. Och, gdyby każdy, kto te parę słówek przeczyta — ale to każdy, biedny, czy bogaty — maleńką złożył na ten cel ofiarę, i to w sam wielki tydzień, — dałoby to możność falandze gorliwych misyonarzy coraz więcej wykupywać niewolników, coraz dalej posuwać się w głąb kraju — co dla braku funduszów powstrzymywanem być musi.

Pamiętajmy, mili Czytelnicy, że pierwszy, który w głębi Afryki dał hasło wesołego Alleluja, był Polak, O. Ryłło T. J., założyciel misyj dla Centralnej Afryki.

Dziwnem zrządzeniem Boskiem natchnął Pan Bóg i teraz kilka serc polskich do poświęcenia swoich sił sprawom misyj afrykańskich. Bierzmy więc wszyscy udział według możności w tem szlachetnem dziele, aby i nam raz wesołe Alleluja zaśpiewano, czego Wam, mili Czytelnicy, z całego serca życzę.

Z. W.

Kronika Sodalicyi św. Piotra Klawera

dla Misyj afrykańskich i Dzieła uwolnienia niewolników.

Nasze zgromadzenie otrzymało niedawno dowód szczególnego odznaczenia ze strony Stolicy apostolskiej przez list X. Kardynała Rampolli, sekretarza stanu, pisany z polecenia Ojca św. do naszej założycielki hrabiny Maryi Teresy Ledóchowskiej. Ważny ten dokument brzmi w tłómaczeniu z języka włoskiego jak następuje:

Szanowna Pani Hrabino!

Czyniąc zadość życzeniu Pani, z przyjemnością przedstawiłem Ojcu św. statuta Sodalicyi św. Piotra Klawera i korzystałem z chwili, by przypomnieć Jego Świątobliwości, z jak wielką gorliwością Pani pracuje w sprawie misyj afrykańskich. — Papież nie zapomniał tego wszystkiego, co słyszał z ust Pani [1]) i wielce się ucieszył, że wspomniane Stowarzyszenie zyskało uznanie w kilku dyecezyach państwa austryackiego i niemieckiego, a życząc, by dzieło to podjęte w duchu głęboko religijnym rozwijało się coraz więcej — raczył udzielić błogosławieństwa Swego dla Pani i dla współpracujących w jakikolwiekbądź sposób w tej sprawie

Jego Świątobliwości przykro jest, że na teraz nie może oznaczyć pomocy w dziele poruszonem przez Panią o ileby chciał — ale będzie to miał na pamięci, pragnąc coraz większego rozszerzania dzieła misyj w Afryce — o czem zawiadamiając Szanowną Panią Hrabinę, miło mi załączyć moje zadowolenie z owoców już zebranych w tej szlachetnej sprawie.

Z wysokim szacunkiem

M. Kard. Rampolla.

Rzym 9 lutego 1895 r.

Oprócz tego wypada nam wspomnieć w kronice o pobycie misyonarza z kongregacyi Białych Ojców, Przew. O. Loonusa, w naszej krakowskiej stacyi. Przepędził tu tydzień i miał dwie konferencye (jedną w języku francuskim w lokalu Sodalicyi, drugą po niemiecku na walnem zgromadzeniu Towarzystwa afrykańskiego), które niemało przyczyniły się do podniesienia interesu dla misyj afrykańskich jakoteż i dla zrozumienia celów, dążności i pożyteczności Sodalicyi naszej.

Wreszcie dodajemy, że dzięki św. Józefowi, założycielka nasza przed odjazdem do Salzburga i Wiednia z końcem marca nie była zmuszona — jak się tego spodziewała — do zamknięcia krakowskiej stacyi z braku sodalisek, ale że znalazłszy gorliwą i pełną ducha ofiary kierowniczkę, mogła tę stacyę ustalić i nawet kilka kandydatek misyjnych do kształcenia tam

[1]) W audyencyi 29 kwietnia 1894 r, gdy założycielka prosiła o pozwolenie założenia Sodalicyi (Przyp. Red.).

przyjąć. Brak tu tylko innych sodalisek do objęcia starannego prowadzenia redakcyi „Echa“, korespondencyi z dobroczyńcami i misyonarzami i innych potrzebnych prac na korzyść misyj — lecz Serce Jezusowe, które sercami kieruje, i tych potrzebnych sił niedługo nam nie odmówi.

A. H.

Wiadomości bieżące z Misyj.

Algierskie Towarzystwo misyjne (Biali Ojcowie Lavigerie'ego).

Marienberg, 7 grudnia 1894.

Czcigodny Panie Redaktorze![1])

Znowu milczenie moje było tak długie, ale nie z mojej winy. Łaskawy list Pański otrzymałem w Bagamoya w przeddzień odjazdu. Nie mogłem zaraz odpisać, a podczas całej naszej podróży lądem t. j. od 1-go sierpnia do 15-go października, spotkaliśmy tylko dwóch posłańców, którym jednak listów dać nie było można, bo karawana była w drodze. — Z Bokumbii wysłano posłańca 18-go października, w trzy dni po naszem przybyciu. Febra nie pozwoliła mi korzystać z tej sposobności. Odtąd czekać musiałem na posłańca grudniowego. — Myślę, że po tem usprawiedliwieniu Szanowny Pan Redaktor mnie wyrozumie. W przyszłości będę mógł pisywać co dwa miesiące, bo posłaniec właśnie wtedy odjeżdża.

Teraz co do intencyj mszalnych. Odprawiłem na oznaczone przez Pana intencye następujące Msze św.:

1. W czerwcu na brzegu Pei-Hó	10	Mszy św.
2. W lipcu w Zanzibarze	24	„
3. W sierpniu w karawanie	6	„
4. We wrześniu w karawanie	8	„
5. W październiku w karawanie i Bokumbii . .	25	„
6. W listopadzie w Marienbergu	24	„
Razem . .	97	Mszy św.

Liczba więc odprawionych Mszy św. jest dziewięćdziesiąt siedm.

Teraz niech mi wolno będzie wyrazić moją radość, jakiej doznałem, przeglądając trzy sprawozdania, z czerwca, lipca i sierpnia. Stowarzyszenie to, które na początku tego roku było projektem tylko, stało się rzeczywistością. Udarowane błogosławieństwem Ojca św. i odpustami, rozwinięte gorliwością Pańską, nie pozostanie z pewnością w ciasnych granicach. — Jako misyonarz dziękuję Najwyższemu za to nowe dzieło gorliwości, które wzbudził.

---

[1]) Nareszcie jesteśmy w miłem położeniu dać naszym czytelnikom wiadomość od znajomego im dobrze Białego Ojca (zob. jego ostatni list w zeszłorocznem „Echu“ nr 10), który raz był w Krakowie i w czerwcu 1894 r. puścił się w głąb Afryki. (Przyp. Red.).



Krajobraz z Afryki wschodniej.

Czas nie pozwala mi udzielić Łaskawemu Panu tylu wiadomości, ile zamierzałem. Posłaniec odjeżdża już dziś rano.

Podróż 75-dniową z Bagamoya do Bokumbii odbyłem bardzo szczęśliwie, febry nie miałem ani na chwilę. Czułem nieraz zmęczenie po etapie, ale na drugi dzień byłem już orzeźwiony i gotowy do dalszej drogi.

Z Bokumbii do Marienbergu jest sześć dni drogi. Opuściwszy Bokumbię 2 listopada, przybyłem do Marienbergu ósmego. Mała ta podróż była dosyć męcząca. Dopiero co byliśmy zmoczeni deszczem, wkrótce potem słońce dokuczało nam strasznie. Przepuszczanie promieni na wodę jest jedną z najprzykrzejszych rzeczy.

Przybywszy do celu mojej podróży, nie wiem, gdzie podzieć głowę. Nie znając języka tutejszego, muszę zaczynać od a b c — a nie uwierzy Pan, jak to przykro, gdy co chwila jest się z ludźmi, dla których dobra chciałoby się pracować, a dla których nic zrobić nie można, nie znając ich języka.

Kończę, przepraszając, że mój list nie jest zajmujący; na przyszły raz będę się starał lepiej to uczynić.

W czasie Mszy św. polecam codziennie Łaskawego Pana i wszystkich jego opiece Najwyższego i proszę także o pamięć w modlitwie.

Z głęboką czcią uniżony i wdzięczny sługa w Chrystusie

O. Józef.

P. S. Byłbym zapomniał podziękować Łaskawemu Panu za to, co Pan dla mnie zrobił w Nikolsburgu. Zapewniam, że użycie 100 złr. nie będzie trudnem. — W Marienbergu kasa jest jedną z najbiedniejszych — a tyle jest tu do zrobienia. Przez przyszłego posłańca chcę także wysłać list do prałata Landsteinera.

Ojcowie od św. Ducha.

Kiboso p. Mombassę, 14 czerwca 1894.

Ledwiem list Szanownego Pana otrzymał, wezwany rozkazem przełożonych, odjechać musiałem do Kilima-Ndjaro i tym sposobem odpowiedź moja się opóźniła. Powierzono mi bowiem 18 chłopców, przeznaczonych do założenia pierwszej chrześcijańskiej osady w najludniejszej części tej znanej krainy.

Pod opieką św. Michała Archanioła 8 maja puściliśmy się w drogę przez bezwodny step, gdzie tylko karłowate drzewa, wyschniętą trawę i dzikie zwierzęta jak antylopy, strusie, girafy, zebry i lwy nawet spotkać można. Dwa razy te straszne zwierzęta spotkaliśmy, ale nasi murzyni krzykiem „Walatta“ spłoszyli je. Zostawiliśmy po drodze w misyjnej naszej stacyi w Buza młodego niewolnika, który z Mombassy za mną był uciekł, żeby był ochrzczonym.

Ciekawe są dzieje tego dziecka. Dawniej już raz był z Zanzibaru od swego pana uciekł, namówiony przez znajomego, który mu obiecał, że go dawny pan nie odnajdzie, i schronił się do Mombassy. Ledwie tu jednak

dotarł, zdradziecki przyjaciel sprzedał go jakiejś mahometance, dla której musiał dzień cały ciężko pracować, aby jej wieczorem przynieść 12 do 14 centów, co w tych stronach dla murzyna znaczną jest zapłatą. — Gdy biedny Farady Allah roboty nie znalazłszy, pieniędzy nie przyniósł, dostawał kije od swego współtowarzysza niewoli.

Gdyśmy zaczęli stawiać nasz dom w Mombassa, przychodził Farady Allah do noszenia kamieni, piasku, wapna i t. p. Zauważyliśmy zaraz poczciwy wyraz jego oczu, szczery uśmiech, a nadewszystko chęć do pracy, tak u murzynów rzadką. Postanowiliśmy zjednać sobie chłopca, co nam nie przyszło zbyt trudno przy powiększeniu mu cokolwiek zapłaty i pożywienia. Nauczyliśmy go wkrótce znaku krzyża św., a wieczorami udzielaliśmy mu pierwszych prawd wiary św. W niedziele, gdy u nas roboty nie było, szedł jej szukać gdzieindziej, a gdy nie znalazł, wracał pod groźbą bolesnych razów wyżebrać swych 12 centów. Jednak gdy nawet zarobek znajdował, nie omieszkał nigdy przyjść na katechizm. Zmiarkowała to z czasem jego sroga właścicielka i przeniosła go wtedy do miejsca o milę drogi oddalonego, gdy to jednak nie skutkowało, uwięziła go wkońcu. Potrafił się i ztamtąd wymknąć, a usłyszawszy o moim wyjeździe, postanowił mi bądź co bądź towarzyszyć i w którejś z misyj naszych we wnętrzu kraju swobodnie religię naszą przyjąć. Wkrótce też został z rąk biskupa ochrzczonym imieniem Aleksandra.

Miło było patrzeć na szczerą radość tego dzieciaka, że się znajdował wśród Ojców, i na żal głęboki, jakiego doznawał na myśl, że towarzysze jego, którzy także już byli cokolwiek nauki zakosztowali, a nie mieli dość odwagi do ucieczki — nie dzielą jego szczęścia.

Po 18-dniowym marszu dostaliśmy się wreszcie do Kileny, pierwszej naszej misyi w Kilima-Ndjaro. Po krótkim wypoczynku wyruszyliśmy dalej w kierunku Maschi, siedziby pułkownika naszego pana Jana, który nas przyjął jak można najgościnniej. Zacny ten człowiek jest nam ciałem i duszą oddanym, ceniąc bardzo usługi przez misyonarzy krajowi oddane.

Dwa dni po opuszczeniu Kileny zwiastował nam wystrzał karabinowy bliskość Kibosy. Najurodzajniejszy i najpiękniejszy to kraj bezsprzecznie w całym łańcuchu gór. Król Sina szanowany tu powszechnie i przez poddanych i przez sąsiednie plemiona Wachaga. Utrzymuje na stopie wojennej wojska 4000 i to całe w broń palną uzbrojone.

Zastaliśmy braci naszych w szałasach słomą krytych, a już i tak 30 dzieci nauczali — na naszych chłopców czekali, by się do budowy zabrać. W tej chwili już budynki skończone, a choć bardzo nędzne, nikt się nie skarży. Kapliczka prowizoryczna stanęła, ale wszystkiego w niej brak: ani obrazu, ani ozdoby żadnej, ani nawet własnego ołtarza nie mamy, obecny należy do misyi w Kilenie. Najśw. Sakramentu też mieć nie możemy a to z braku cyboryum, sukienki, lampy — o lichtarzach i aparatach już nie mówiąc. Za obrus służy nam obecnie kawał najlichszego płótna, jakiego tu do noszenia żywności używają. Dzwon ofiarowany nam przepadł niestety gdzieś w stepie i od dwóch miesięcy nadaremno tragarzy i dzwonu oczekujemy. Zastępują go nieudolnie dwa duże haki na sznurze zawieszone, trącające się przy poruszeniu.

Przed odjazdem moim z Mombassy posłałem dla Was na ręce prokuratora zanzibarskiego 2 łuki i 2 kołczany pełne zatrutych strzał oraz nóż i klingę, jakich tutejsi Kichagowie używają. Będą Wam one przy sposobności oddane.

Proszę przyjąć wyrazy mego głębokiego poważania.

O. Klauss.

Misya OO. Jezuitów nad Zambezą.

Czishawaska (Lojola) pod Salisbury 15 paźdz. 1894.

Mili Czytelnicy!

Niniejszym listem pragnę was w krótkości poznajomić ze stanem obecnym naszej misyi. — Przed dwoma laty powstała dopiero, a to staraniem dwóch Ojców i czterech Braci niemieckiej naszej prowincyi a jednego austryackiej. Niebawem rozpoczęła się praca misyjna oddziaływaniem pośredniem i bezpośredniem na ludność miejscową. Niestety, praca ta zaraz z początku bardzo utrudnioną została wybuchem febry żółtej, która w porze słotnej z roku 1892 na 1893 silnie grasowała, nikogo nie oszczędzając. Wszakże z Boską pomocą zabraliśmy się niebawem do dzieła, starając się najprzód pozyskać zaufanie ludności, aby ją potem módz skutecznie nauczać. Pierwszy cel dał się osiągnąć, jak wszędzie zresztą wielką łagodnością, wyrozumiałością i troskliwością Ojców; do działania zaś bezpośredniego na czarnych potrzebną była koniecznie znajomość języka Machona. W tem mogłem Ojcom cokolwiek dopomódz, dwa lata wprzódy tu osiadłszy. — Powoli zaczęli Ojcowie być znanymi w coraz dalszej okolicy, z czego trzeba było skorzystać, by zacząć nauczanie. Tu się ta trudność przedstawiała, że osady bardzo daleko od siebie oddalone były. Za namową jednak i zabiegami Ojców zaczęli poczciwcy opuszczać powoli swe chaty a przenosić się w najbliższe sąsiedztwo, co nam znakomicie ułatwiało czuwanie nad nimi i nauczanie. Tak więc początek nauki został postanowiony, że miejscowi mieli codzień katechizm, a dalsi po wsiach osiedli, z których najdalsze o godzinę drogi położone, mieli kolejno odwiedziny jednego z Ojców. Równocześnie zaś bracia uczą się gramatyki narzecza miejscowego, aby módz z czasem w katechizacyi dopomagać. Już gramatyka i dykcyonarz wydane, a katechizm mógłby wyjść i zaraz, gdyby nas funduszami na to stać było.

Dzieło zatem rozpoczęte, grunt pod uprawę gotów, oby tylko środki dalsze działanie ułatwiły. — Kraj jest tak wielki, że znaczną ilość misyonarzy zająćby potrafił, a nim przybędą, szkoła dla dziewcząt pod kierunkiem Dominikanek znakomiteby usługi oddała, żeby tylko było za co ją ufundować.

Kończę życzeniem obfitych łask Bożych i błogosławieństw na ten rok nowy dla członków wspierających misye nasze i łaskawych czytelników „Echa“.

Sługa w Chrystusie
S. J. O. A. M. Hartmann.

MAŁY
FEUILLETON.

Historya srebrnego reńskiego, który koniecznie chciał powędrować do Afryki.

Przez A. Halkę.

(Ciąg dalszy).

Wreszcie wybiła godzina wybawienia. Drzwi więzienia otworzyły się, albo mówiąc po ludzku — młody urzędnik, właściciel naszego bohatera, otworzył ostatnią paczkę pieniędzy, znajdującą się w ogniotrwałem schowaniu. Gdyby teraz nasz reński rozporządzał głosem ludzkim, z pewnością rozległby się w mieszkaniu urzędnika, gdzie ta scena wybawienia odbywała się, głośny okrzyk radości. Ale zaledwie wydostał się z papieru, zagroziło mu nowe niebezpieczeństwo w postaci otwartej szuflady, która nań czekała. Lecz nie! Tym razem szczęście będzie sprzyjało naszemu przyjacielowi. Los, którego się obawiał, spotkał tylko jednę część towarzyszy, jego zaś i niewielu jeszcze szczęśliwców włożył pan w głębie kieszeni od paltota — co znaczyło bez wątpienia, że są przeznaczone na najbliższe wydatki. — Przewidując tak upragnioną przyszłość, czuł się nasz przyjaciel bardzo uszczęśliwionym w nowym lokalu po smutnym pobycie w papierze. Leżał tam tak słodko jak w weneckiej gondoli. Słodszym jeszcze był mu ten pobyt, gdy pan jego wziął kapelusz i laskę i wyruszył na spacer. Zrobiło to na naszego przyjaciela wrażenie kołysania fal morskich, choć naturalnie o tem ostatniem nigdy nie słyszał, więc nie mógł zrobić tego porównania. Nie zbywało mu także na świetle i powietrzu, które dostawało mu się nietylko przez górny otwór kieszeni, ale — i to w sposób bezpośredniejszy — przez boczną szparę (urzędnik był kawalerem), którą wkrótce zbadał w celu wyciągnięcia z niej pożytku. Dzięki jej, mógł się bez przeszkody przypatrywać pięknemu dniowi i przechadzce swojego pana Pełen dziecinnej ciekawości i podziwu, patrzył na wysokie budynki, obok których przechodzili, spoglądał na liczne wystawy, których okna oświetlone promieniami słońca, obudzały w nim często zazdrość — zresztą czuł się swobodnym i szczęśliwym. Raz tylko był bardzo niezadowolonym. Było to mianowicie wtedy, gdy w najbliszszej od niego odległości pędziły konie i niezliczone paltoty, duże, małe, ciemne i jasne otarły się nieraz o paltot jego pana. Gdyby nasz reński był starszym, wiedziałby, że jego właściciel przechodził się po ulicy Karola Ludwika we Lwowie — a biedny reński ledwie mógł oddychać, bo okienko jego ciągle się zamykało. Szczęściem, męka ta nie trwała długo. — Spacerujący przeszedł na mniej zaludnioną ulicę, a nasz reński chciał się znowu oddać obserwacyi, ale tu spotkała go niespodzianka. Gon-

dola, a względnie kieszeń stanęła nagle. Potem nastąpiło gwałtowne wstrząśnienie i znowu zapanował spokój, i rozpoczęła się następująca rozmowa:

— Serwus, Julku! Dokąd idziesz?

— Sam nie wiem. Zjadłem obfitsze niż zwykle śniadanie i przechadzam się. Czy idziesz ze mną?

— Nie mogę. Za godzinę jest posiedzenie Towarzystwa ochrony zwierząt, a mam zaszczyt uchodzić za gorliwego członka komitetu — chcę nawet (tu słychać było lekkie chrząknięcie) mieć małą mowę. Ale jeżeli nie masz nic lepszego do roboty, to przyjdź do parku stryjskiego, gdzie będziemy jedli kolacyę, a później porozmawiamy.

— Dobrze, przyjdę. Do widzenia więc.

Kroki oddaliły się, ale wkrótce zbliżyły się znowu. Nasz reński nadstawił uszy — o! jak prędko podniósł się barometr jego afrykańskich nadziei, ale na to tylko, aby później tem niżej opaść.

— Słuchaj Julku, jeszcze słowo... Wiesz, że nie jest moim zwyczajem, ale w rzeczach sumienia i dla pięknych oczu hrabiny B. robi się niejedno. Od niejakiego czasu jest ona i część naszego towarzystwa zachwyconą sprawami Afryki. — Zdaje się, że chcieliby jednem skinieniem ręki uwolnić i nawrócić wszystkich murzynów, wystawić cały legion misyonarzy. Na co ten pośpiech, tego nie rozumiem — mais enfin. — Hrabina dała mi listę i mam werbować członków dla nowo założonego towarzystwa afrykańskiego; wkładka wynosi 50 ct., ale daje się zwykle reńskiego. Czy mogę cię zapisać?

— Kochany przyjacielu!...

— Już wiem, co chcesz odpowiedzieć: tak wiele jest stowarzyszeń, obowiązków i t. p., najlepsze dochody nie mogą wystarczyć na to wszystko. Wiem to sam z siebie.

— Zupełnie słusznie. Dlatego wziąłem sobie za zasadę nie należeć już do żadnego towarzystwa, choćby cel jego był najpiękniejszy. I dobroczynność ma swoje granice. Trzeba pamiętać o sobie i o swoich następcach. — Tu usłyszeć było można takie westchnienie, jak gdyby pochodziło z gardła baranka ofiarnego.

— No, no, nie chcę cię zachęcać do odstępowania od twoich zasad. W gruncie rzeczy mam słuszność. Propozycyę zrobiłem, a więcej miłe damy nie mogą odemnie żądać. A propos, nie zapomnij, że jutro imieniny u Bs. Pamiętaj, bo mówią, że na drugi rok będą otwarty dom prowadzić. A teraz serwus — do dziś wieczora!

— Do widzenia!

Kroki oddalającego się zginęły w ogólnym tłumie i towarzysz jego — względnie kieszeń paltotu naszego reńskiego wprawioną została w ruch. Ale wszelka radość i szczęście znikło z serca naszego przyjaciela po wysłuchaniu tej rozmowy. Jak ciężki kamień zaciężyła ona na szlachetnym umyśle reńskiego. Gdyby był mógł wyskoczyć z kieszeni swego pana przy propozycyi jego znajomego. Tak jednak uczucie to bezsilności było dlań gorzką męką.

Oszołomiony z bólu nie poświęcał już swojej uwagi niczemu i obudził się ze swego snu dopiero wtedy, gdy upajająca woń konwalii doszła

do jego srebrnego nosa. Przybliżył się do swego okienka i czarne myśli ogarnęły go.

Pan jego wdał się w wesołą rozmowę z kwieciarką. Przed nim leżał na stole wspaniały bukiet z wyżej wymienionych kwiatów.

— Ile jestem winny? — usłyszeć było można wkońcu.

— Dwadzieścia reńskich, łaskawy panie.

— Ale to za drogo moja miła!

— Pan nigdzie nie dostanie taniej takiego bukietu. Ale za to ma pan śliczny prezent. Trzeba umieć też parę reńskich poświęcić.

Zdaje się, że ta logika przekonała kupującego. Z westchnieniem (bo rzeczywiście był nieprzyjacielem niepotrzebnych wydatków) sięgnął do kieszeni paltota, aby zapłacić — jak drżał wtedy nasz srebrny bohater, aby jego nie wyciągnął. Bo przejście w posiadanie kwieciarki miał w swojem niedoświadczeniu za ostateczne zawiedzenie jego afrykańskich nadziei. Czyż przypuszczał wtedy, że będzie musiał zstąpić o wiele niżej jeszcze, aby właśnie ztamtąd dopiero, podobny feniksowi, wzlecieć wprost do wzniosłego swego celu.

Człowiek zasad poruszał chwilę reńskie, porachował je w palcach, ale namyślił się prędko, wyjął z portmonetki dwie dziesiątki, z któremi czułym wzrokiem się pożegnał. Nasz reński odetchnął trochę.

— Dziękuję bardzo, czy mam ten bukiet gdzie odesłać?

— Nie potrzeba. Muszę i tak wziąć dorożkę, bo jestem zmęczony, a lekarz kazał mi unikać fizycznego zmęczenia (o duchowe zmęczenie nie zachodziła żadna obawa, jeżeli pominiemy mechaniczną pracę biurową). Mogę więc odrazu zawieść bukiet na miejsce przeznaczenia. Do widzenia piękna Marietto. — Dorożka!

Dorożkarz, który właśnie jadł kiełbaski na stopniach powozu swego towarzysza, schował je, owinąwszy w żółty papier, do kieszeni, zdjął usłużnie kapelusz i otworzył drzwiczki powozu.

Nasz urzędnik wsiadł ostrożnie, aby nie uszkodzić pięknego bukietu, który umieścił później obok siebie. Potem dał woźnicy adres pałacu przy ulicy Mickiewicza — a konie popędziły prędko przez miasto. Nasz człowiek zasad zapalił hawanna najlepszego gatunku, aby wzmocnić może nadwątlone siły. Nie był on marnotrawcą ani używającym w całem znaczeniu tego słowa, ale dobre cygara były jego słabą stroną. Któż mógł mu to wziąć za złe? Miał przecież na to.

Ale przypatrzmy się dalej naszemu reńskiemu.

Schował się jak najgłębiej w swojej gondoli — a względnie w fałdach kieszeni — a najdziwaczniejsze myśli krzyżowały się w jego mózgu. Po tem wszystkiem, co w tej półgodzinie słyszał i widział, barometr szlachetnych jego życzeń spadł poniżej zera. Nie chciał jednak wyrzec się całkiem nadziei, a wsparty trochę znajomością ludzi, po wysłuchaniu ostatniej rozmowy ufał, że może jakie piękne oczy wielbicielki Afryki będą magnesem wyprowadzającym go z kieszeni swego pana, a zbliżającym do celu. Nowy jednak cios miał niebawem zniszczyć ostatni promień nadziei.

Nagle zatrzymał się powóz. Urzędnik wyskoczył z gracyą — a nasz reński patrzy na pałac, jak gdyby szukał oczu jakiej wybawicielki za cięż-

kiemi firankami okien. Ale jedno prędkie sięgnięcie wyrwało naszego arystokratycznego przyjaciela z kołyszącej się gondoli, — w minutę później szorstka, koścista ręka objęła go i włożyła niemiłosiernie w szeroką głębię, która przejmującą swą wonią przypominała piwiarnię albo wędzarnię najgorszego gatunku. Odpowiednie temu znajdowało się tam także towarzystwo, wytarte szóstki, w których zniszczonych twarzach ujrzał ze wstydem swój portret. I nie koniec na tem — stos czworaków ciśnie się obok przybysza, brudząc dokoła. — Przyjacielowi naszemu zrobiło się czarno przed oczyma. Zmysły zaczęły mu się mieszać: hawanna, kwieciarka, Afryka, kiełbaski — wszystkie te obrazy zajmowały w dzikim nieładzie jego umysł i zanim zdał sobie sprawę ze zmiany swojego losu, z przejścia w posiadanie szanownego dorożkarza — popadł w ciężkie omdlenie.

* * *

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozmaitości.

Hodowla strusiów. Pojęcie o rozmiarze handlu strusiemi piórami daje skonstatowana cyfra wartości wyznaczonego rocznie z kolonii Kap produktu, oszacowanego na 7 milionów dolarów. Nie dziw więc, że kolonia ta strzeże bacznie swego monopolu. Prawodawstwo Kaplandu ustanowiło 500 dol. cła od wywozu każdego strusia. W południowej Afryce hodowla tych cennych ptaków prowadzona jest na wielką skalę. Tameczne farmy liczą 100.000 strusiów. W ostatnich latach wzmogła się też znacznie hodowla strusiów w Kalifornii, gdzie rozmnażają się nader szybko. Hodowcy uskarżają się w ostatnich czasach na niskie ceny piór, przy najniższych jednak osiągają po 25—30 dolarów. Jednym ze znaczniejszych hodowców w Kalifornii jest mr. Edwin Cawston, prowadzący interes na tak wielką skalę, iż sprowadza osobnemi okrętami strusie z Afryki, dla polepszenia rasy swoich.

Żar promieni słonecznych jest tak silny w Afryce, że najdalej w 10 minutach zabija człowieka wystawiającego się na słońce z gołą głową lub w kapeluszu europejskim; z tego powodu ludzie noszą tam kapelusze z korka, na palec grube, a te nie przylegają do głowy szczelnie, tylko oparte są na kilku kawałkach korka, wewnątrz umieszczonych i tak, by pomiędzy głową a kapeluszem ciągły był przewiew. Murzyni naturalnie na ten żar słoneczny są wytrzymalsi.

Wykaz datków *(ogólna suma datków nadesłanych do polskiego i niemieckiego Echa* wynosi **670 złr. 01 ct.**) znajduje się na 3 stronie okładki.

Zamknięcie redakcyi 18 marca 1895.

Za wydawnictwo i redakcyę odpowiedzialny: Wojciech Adamski.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp., pod zarządem J. Łakocińskiego.

Nadesłane datki (do 5 marca 1895).

Na Misye afrykańskie i wykup niewolników: Od ks. kanonika Foxa z Krakowa 6·38 złr.; przez p. Zioba od p. Józafa Kocyjana (2 msze św. pro inten.) 3 marki = 1·80 złr; od p. W. Matyskiewicza ze Lwowa na wykup murzynka z nadaniem imienia „Wiktor" 30 złr.; od p. Matyldy Szulc z Pelplina (1 msza św. pro omnibus defitis) 1 mk. 50 fen. = 90 ct; ks. Ropski w Chomianicach 50 ct.; od Julii i Ewy z Krakowa (1 msza św. za ś. p. Bernarda, 1 za ś. p. Maryę i Wacława) 2 złr.; od brata Alberta Czarnieckiego Karmelity ze Lwowa 38 ct.; od panny Maryi Mańkowskiej z Poznańskiego (6 mszy św. za wszystkie dusze czyścowe) 10 mk. = 6 złr.; od uczennic PP. Wizytek w Krakowie 5 złr.; od p. Zubrzyckiej (dla swojego murzynka Laurentego Sobieskiego) 10 złr.; razem 62·96 złr.

Na cele Sodalicyi św. Piotra Klawera: Od p. mecenasa Markiewicza w Krakowie 5 złr.; od p. Edwardowej Meysztowiczowej 10 złr.; od hr. Jadwigi Stadnickiej 3 złr.; p. Antoniewicz 2 złr.; przew. ks. prałat Starowiejski 2 złr.; p. hr. Starzeńska 10 złr.; od p. Cecylii Zaleskiej 5 złr; od ks. Ferdynandowej Radziwiłłównej 20 mk. = 12·20 złr.; od hr. J. B. 50 złr.; od p. Straszewskiej 2 złr.

Na Towarzystwo afrykańskie w Krakowie: Józef Ligęza z Krakowa 50 ct.; Józef Górniak ze Lwowa 1 złr.; razem 1·50 złr.

Suma datków nadesłanych do polskiego „Echa" **194 złr. 54 ct.**

Ogólna suma nadesłana do Redakcyi „Echa": **673 złr. 91 ct.**

Dopłaty do „Echa". Ks. kanonik Puzon z Tarnowa 38 ct.; ks. proboszcz Wajda z Bestwiny 2·38 złr.; hr. Romer z Ochodza 38 ct.; p. Szaszkiewiczowa z Krakowa 38 ct; p. baronowa Błażowska z Ryczowa 38 ct.; p. Łempicka 38 ct; p. Krysztofowiczowa 38 ct; p. Milewska z Krakowa 38 ct.; ks. Preibisz z Tarnowa 1·38 złr.; p. Klobassowa ze Zgłobic 2·76 złr.; razem 7·18 złr.

Nadesłane przesyłki. Od pani baronowej Vecsey, damy dworu arcyksiężnej Waleryi: bieliznę stołową, porcelanę, obrazy (dla Sodalicyi); na ręce hrabianki Dzieduszyckiej w Krakowie porcelanę stołową (dla Sodalicyi); przez O. Bratkowskiego sznur pięknych korali na wykup murzynka imieniem „Karol"; od p. hr. Starzyńskiej: perkalowe sukienki dla murzynów; od SS. Urszulanek w Krakowie: materye i kościelne przybory.

Zgromadzenie Zelatorów i Zelatorek „Echa z Afryki".

282. Ks. Stanisław Falęcki z Jarosławia.
283. Juliusz Kosz Scharlej na Górnym Szlązku.
284. Karol Czołek z Krubenskakuła.
285. Leonhard Ziemba z Chorzowa.

MEMENTO ZA ZMARŁYCH.

Paulina z Potockich margrabina Wielopolska † w Krakowie 11 marca b. r. *Wieczny odpoczynek racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki. Niech odpoczywają w pokoju. Amen.*